

# LEE CHILD

## W TAJNEJ SŁUŻBIE

Jack  
Reacher



# 1

Dowiedzieli się o nim w lipcu. Przez cały sierpień byli wściekli, we wrześniu próbowali go zabić. Zdecydowanie za wcześnie, nie byli gotowi. Próba zakończyła się fiaskiem. Mogło dojść do katastrofy, ale zdarzył się cud, bo nikt niczego nie zauważył.

Posłużyli się tradycyjną metodą, by oszukać ochronę, i zajęli pozycję trzydzieści metrów od miejsca, w którym miał przemawiać. Użyli tłumika i chybili o parę centymetrów. Pocisk musiał przelecieć mu tuż nad głową, może nawet przez włosy, ponieważ cel natychmiast podniósł rękę i przyglądał jej, jakby wiatr wzburzył mu fryzurę. Później oglądali to wiele razy w telewizji. Podniósł rękę i przyglądał włosy. Nic poza tym. Kontynuował wystąpienie, niczego nieświadomy, bo z definicji kula z broni z tłumikiem jest zbyt szybka, by dało się ją dostrzec, i zbyt cicha, by ją usłyszeć. Chybiła zatem i poleciała dalej. Nie trafiła też w nikogo innego za jego plecami, w żadną przeszkodę, budynek — leciała prosto, niestrudzenie, aż wyczerpała się jej energia, a siła ciężenia ściągnęła ją na ziemię wprost na rozległe łąki. Nikt nie zareagował, nikt nic nie zrobił. Zupełnie jakby kuli wcale nie wystrzelono. Nie próbowali drugi raz. Byli zbyt wstrząśnięci.

A zatem klęska i cud, a także nauczka. Przez cały październik działali jak zawodowcy, którymi byli. Uspokajali się, zaczynali od nowa, rozmyślali, uczyli się, przygotowywali drugą próbę. To będzie lepsza próba, starannie zaplanowana i właściwie wykonana. Połączenie techniki, drobiazgowości i wyrafinowania przyprawionych strachem. Godna próba. Twórcza. I przede wszystkim zakończona sukcesem.

A potem nadszedł listopad i reguły się zmieniły.

• • •

Filizanka Reachera była pusta, lecz wciąż ciepła. Uniósł ją ze spodeczka i przechylił, obserwując spływającą ku niemu resztkę kawy, powolną i brązową niczym muł rzeczny.

— Kiedy trzeba to zrobić? — spytał.

— Jak najszybciej — odparła.

Skinął głową. Wysunął się zza stolika i wstał.

— Odezwę się za dziesięć dni — oznajmił.

— Żeby poinformować o swojej decyzji?

Pokręcił głową.

— Żeby powiedzieć, jak mi poszło.

— To akurat będę wiedziała.

— No dobra, w takim razie, żeby powiedzieć, gdzie masz wysłać pieniądze.

Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Spojrzał na nią.

— Sądziłaś, że odmówię? — spytał.

Uniosła powieki.

— Sądziłam, że trudniej cię będzie przekonać.

Wzruszył ramionami.

— Tak jak mówił Joe, uwielbiam wyzwania. Joe zwykle miał rację w takich sprawach. Zwykle miał rację w wielu sprawach.

— Teraz nie wiem, co powiedzieć. Chyba powinnam podziękować.

W milczeniu odwrócił się do wyjścia, w tym momencie

jednak wstała, zastępując mu drogę. Przez chwilę trwali bez ruchu, skrępowani, uwięzieni za stolikiem. Wyciągnęła rękę, a on ją uściśnął. Przytrzymała ją ułamek sekundy dłużej, a potem wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Usta miała miękkie, ich dotyk palił niczym uderzenie prądem.

— Uścisk dłoni nie wystarczy — powiedziała. — Zrobisz to dla nas. — Urwała na chwilę. — A poza tym o mało nie zostałeś moim szwagrem.

Reacher milczał, skinął tylko głową i szurając nogami, wydostał się zza stołu. Raz jeden obejrzał się za siebie, a potem wyszedł po schodach na ulicę. Na jego dłoni pozostał ślad jej perfum. Reacher poszedł do kabaretu, zostawił w garderobie list do przyjaciół, następnie ruszył w stronę autostrady. Miał dziesięć dni na to, by znaleźć sposób zabicia czwartej najlepiej strzeżonej osoby na świecie.

• • •

Wszystko zaczęło się osiem godzin wcześniej. Było tak: szefowa zespołu M.E. Froelich przysłała do pracy w poniedziałkowy ranek trzynastcie dni po wyborach, godzinę przed drugą naradą strategiczną, siedem dni po tym, jak ktoś po raz pierwszy wymówił słowo „zamach”, i podjęła ostateczną decyzję. Natychmiast ruszyła na poszukiwanie swojego bezpośredniego przełożonego. Znalazła go w pokoju sekretarki przed gabinetem. Wyraźnie dokądsz szedł i widać było, że się spieszył. Pod pachą trzymał teczkę, jego twarz miała wyraz mówiący jasno: trzymaj się z daleka. Ona jednak odetchnęła głęboko i dała mu do zrozumienia, że musi porozmawiać natychmiast. Pilnie. Rzecz jasna nieoficjalnie i w cztery oczy. Przystanął na chwilę, odwrócił się gwałtownie i skierował z powrotem do swojego gabinetu. Pozwolił jej wejść do środka, po czym zamknął drzwi — dość cicho, by niezaplanowane spotkanie nabrało nieco spiskowego charakteru, lecz dostatecznie stanowczo, aby nie miała cienia wątpliwości, że zakłócenie porządku dnia

bardzo go zirytowało. Zwykle szcęknięcie zamka niesło ze sobą wyraźną wiadomość wyrażoną w jasnym i zrozumiałym języku biurowej hierarchii: oby nie była to strata czasu.

Po dwudziestu pięciu latach pracy był weteranem i szybkimi krokami zbliżał się do emerytury. Przekroczył już pięćdziesiątkę, dawne czasy minęły bezpowrotnie. Wciąż wysoki, wciąż szczupły i umięśniony, szybko jednak siwiał i robił się sflaczały w niektórych miejscach. Nazywał się Stuyvesant. Gdy pytano o pisownię, wyjaśniał nieodmiennie: „Jak ostatni dyrektor generalny Nowego Amsterdamu”, po czym, czyniąc ukłon w stronę współczesnego świata, dodawał: „Jak papierosy”. Przez całe życie ubierał się w klasyczne stroje od Brook Brothers, uważano jednak, iż potrafi dostosować taktykę do okoliczności. A co najważniejsze, nigdy nie przegrał, ani razu, a pracował od bardzo dawna i miewał sporo trudnych chwil. Tym samym w bezlitosnym rachunku organizacji uważano go za dobrego szefa.

— Wyglądasz na trochę zdenerwowaną — zauważył.

— Bo jestem — przyznała Froelich.

Gabinet miał mały i cichy, skąpo umeblowany, bardzo czysty. Ściany pomalowano na biało, wewnątrz oświetlała lampa halogenowa. W jedynym oknie wisiała biała wertykalna żaluzja — do połowy zaciągnięta, przysłańiała szary świat zewnętrzny.

— Czemu się denerwujesz? — spytał.

— Muszę prosić o pozwolenie.

— Na co?

— Na coś, czego chcę spróbować — odparła.

Była dwadzieścia lat młodsza od Stuyvesanta, miała dokładnie trzydzieści pięć lat. Raczej wysoka, ale nie przesadnie: może trzy i pół centymetra więcej niż średnia wzrostu Amerykanek jej pokolenia. Lecz promieniujące z niej inteligencja, energia i żywotność sprawiały, że opisując ją, nikt nie użyłby słowa „przeciętna”. Jednocześnie gibka i muskularna, z jasną połyskującą skórą i błyszczącymi oczami, wyglądała jak sports-

menka. Włosy miała krótkie, blond i nieco potargane. Sprawiała wrażenie, jakby w pośpiechu wyskoczyła spod prysznicza i przebrała się tuż po zdobyciu złotego medalu na olimpiadzie, najpewniej w jakimś sporcie drużynowym. Zupełnie jakby nie zaszło nic wielkiego, jakby chciała zniknąć ze stadionu, nim zjawią się dziennikarze telewizyjni i zasypią ją pytaniami. W sumie wyglądała na osobę bardzo kompetentną i jednocześnie skromną.

— Co dokładnie? — spytał Stuyvesant.

Odwrócił się i położył teczkę na biurku. Wielki mebel miał blat z szarego sztucznego kamienia — przykład nowoczesnego mebla biurowego, obsesyjnie czystego i wychuchanego niczym antyk. Stuyvesant słyszał z tego, że nigdy nie zostawiał niczego na biurku. Zawsze było puste. Nadawało to jego gabinetowi aurę niezwykłej fachowości.

— Chcę, żeby zrobił to ktoś z zewnątrz — oznajmiła Froelich.

Stuyvesant ułożył teczkę dokładnie w narożniku biurka i przesunął palcami po krawędzi, jakby sprawdzał, czy dobrze wpasował ją w kąt.

— Uważasz, że to dobry pomysł?

Froelich milczała.

— Przypuszczam, że masz już kogoś na oku.

— Znakomitego kandydata.

— Kogo?

Froelich pokręciła głową.

— Nie powinieneś o niczym wiedzieć. Tak będzie lepiej.

— Polecono go?

— Albo ją.

Stuyvesant skinął głową. Dzisiejsze czasy.

— Czy osoba, którą masz na myśli, została polecona?

— Tak, przez doskonałe źródło.

— Z organizacji?

— Tak.

- Zatem już o tym wiemy.
- Nie, źródła nie ma już w organizacji.

Stuyvesant odwrócił się i przesunął teczkę równolegle do dłuższej krawędzi blatu, a potem znów do krótszej.

— Pozwól, że zabawię się w adwokata diabła. Awansowałem cię cztery miesiące temu. Cztery miesiące to bardzo długo. Decyzja o sprowadzeniu kogoś z zewnątrz może świadczyć o pewnym braku wiary we własne siły, nieprawdaż? Co na to powiesz?

— Nie mogę się tym przejmować.

— A może powinnaś. To może ci zaszkodzić. Sześciu facetów chciało dostać tę pracę. Jeśli więc to zrobisz i sprawa się wyda, będziesz miała poważny problem. Przez resztę życia, aż do emerytury, sześć sędów będzie siedziało ci na karku, powtarzając „a nie mówiłem?”. Ponieważ zaczęłaś wątpić we własne umiejętności.

— W takiej sytuacji muszę w nie wątpić. Tak myślę.

— Myślisz?

— Nie, ja wiem. Nie widzę innego wyjścia.

Stuyvesant nie odpowiedział.

— Wcale mnie to nie cieszy — dodała Froelich. — Wierz mi. Ale uważam, że trzeba to zrobić. Takie jest moje zdanie. W gabinecie zapadła cisza. Stuyvesant nadal milczał.

— Zatem autoryzujesz to? — spytała Froelich.

Szef wzruszył ramionami.

— Nie powinnaś w ogóle pytać. Powinnaś po prostu to zrobić.

— To nie mój styl.

— A zatem nikomu nie mów. I żadnych dokumentów.

— I tak bym tego nie zrobiła. To mogłoby tylko zaszkodzić.

Stuyvesant tylko skinął głową. A potem, jak przystało na biurokratę, którym się stał, zadał najważniejsze pytanie:

— Ile będzie kosztować ta osoba?

— Niewiele. Może nic. Tylko wydatki. Coś nas łączy. Teoretycznie. W pewnym sensie.

— To może zablokować ci karierę. Koniec awansów.

— Alternatywa może ją zakończyć.

— Ja cię wybrałem — przypomniał Stuyvesant. — Osobiście. Zatem wszystko, co zaszkodzi tobie, zaszkodzi też mnie.

— Rozumiem to.

— Odetchnij głęboko i policz do dziesięciu. A potem powiedz mi, że to naprawdę niezbędne.

Froelich skinęła głową. Odetchnęła i milczała dziesięć, może jedenaście sekund.

— To naprawdę niezbędne — powtórzyła.

Stuyvesant wziął teczkę.

— W porządku, zrób to — powiedział.

• • •

Natychmiast po naradzie strategicznej zabrała się do roboty i nagle uświadomiła sobie, że najtrudniejsze dopiero przed nią. Pytanie o pozwolenie wydawało się jej dotąd tak ogromną przeszkodą, że jej umysł uznał je za najtrudniejszy etap całego projektu. Teraz jednak wiedziała, że to nic w porównaniu z odszukaniem celu. Dysponowała jedynie nazwiskiem i bardzo skrótową biografią, która mogła — bądź nie — odpowiadać prawdzie, a w dodatku obejmowała okres sprzed ośmiu lat. Jeśli w ogóle zdoła przypomnieć sobie szczegóły. Kochanek wspominał jej o nich przelotnie pewnego późnego wieczoru, niemal żartem, w łóżku, tuż przed snem. Nie była nawet pewna, czy w ogóle uważnie go słuchała. Postanowiła więc nie polegać na szczegółach. Wystarczy jej samo nazwisko.

Zapisała je dużymi drukowanymi literami na górze żółtej kartki. Przywoływało wiele wspomnień, trochę złych, większość dobrych. Przez długą chwilę się w nie wpatrywała, potem skreśliła je i napisała zamiast tego UNSUB. To pomoże jej się skupić. Nagle cała sprawa stała się bezosobowa, pozwalając umysłowi wrócić do podstawowych zasad szkolenia. *Unknown subject* — obiekt nieznany — to ktoś, kogo należy zidentyfikować i zlokalizować. To wszystko, nic dodać, nic ująć.



Jej główną przewagą stanowiła moc obliczeniowa. Froelich miała dostęp do znacznie większej ilości baz danych niż przeciętny obywatel Stanów Zjednoczonych. Z całą pewnością wiedziała, że UNSUB to wojskowy. Połączyła się zatem z krajową bazą rejestrów wojskowych. Mieściła się ona w St. Louis w stanie Missouri i obejmowała każdego mężczyznę i kobietę, którzy kiedykolwiek, gdziekolwiek służyli w armii amerykańskiej. Froelich wypisała nazwisko i odczekała chwilę. Na ekranie pojawiły się zaledwie trzy odpowiedzi. Jedną wyeliminowała natychmiast dzięki imieniu. Wiem na pewno, że to nie on, prawda? Kolejną wykluczała data urodzenia: o pokolenie za stary. Trzecia zatem to musiał być UNSUB, nie ma innej możliwości. Przez sekundę wpatrywała się w pełne imię i nazwisko, po czym przepisała na kartkę datę urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego. Następnie kliknęła ikonkę „szczęgóły” i wpisała hasło. Ekran zamrugał, po czym na monitorze pojawiła się skrócona historia służby wojskowej.

Złe wieści. UNSUB nie służył już w wojsku. Opis służby kończył się pięć lat wcześniej odejściem po trzynastu latach. Stopień w chwili odejścia: major. Wymieniono też odznaczenia, w tym Srebrną Gwiazdę i Purpurowe Serce. Odczytała pochwały, zapisała nieco szczegółów, po czym odkreśliła tę część żółtej kartki wyraźną kreską oznaczającą koniec jednej ery i początek następnej. Znów zabrała się do dzieła.

Kolejnym logicznym krokiem było przeszukanie indeksu śmierci bazy ubezpieczeń społecznych. Podstawowa zasada: nie ma sensu szukać kogoś, kto już nie żyje. Wpisała numer i uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Szukanie nie przyniosło jednak wyników, UNSUB wciąż żył, przynajmniej według danych rządowych. Następnym krokiem było sprawdzenie Narodowego Centrum Informacji Kryminalnych. Znów kwestia podstawowych zasad postępowania — nie można zaangażować kogoś, kto siedział w więzieniu. Nie żeby sądziła, że w przypadku UNSUB było to prawdopodobne, ale nigdy

nie wiadomo. Niektórzy ludzie żyją zawsze blisko tej delikatnej granicy. Baza danych NCIK działała wolno jak zawsze, toteż Froelich zgarnęła do szuflad dokumenty z ostatnich dni, wstała i napełniła kubek kawą. Po powrocie znalazła na ekranie wynik przeszukania bazy danych osób aresztowanych bądź skazanych na więzienie. Nic. Wyszukiwanie dostarczyło jednak krótką informację, że UNSUB figuruje w rejestrach FBI. Ciekawe. Zamknęła stronę i zalogowała się do bazy FBI. Szybko znalazła akta i odkryła, że nie może ich otworzyć. Wiedziała jednak dosyć na temat systemu kwalifikacji Biura, by rozszyfrować nagłówki. Zwykle informacje opisowe, nic więcej. UNSUB nie był uciekinierem, nie poszukiwano go, nie miał żadnych kłopotów.

Zapisała wszystko na kartce, po czym przeszła do ogólnokrajowej bazy Departamentu Pojazdów Mechanicznych. I znów złe wieści. UNSUB nie miał prawa jazdy. Bardzo dziwne i bardzo irytujące. Ponieważ brak prawa jazdy oznaczał brak aktualnego zdjęcia i adresu. Przeszła do komputera administracji weteranów w Chicago i zaczęła szukać po nazwisku, stopniu i numerze. Nic. UNSUB nie odbierał renty, nie podał też adresu kontaktowego. Dlaczego? Gdzie ty, do diabła, jesteś? Wróciła do ubezpieczeń społecznych i wywołała informację o zatrudnieniu. Brak. UNSUB od czasu wyjścia z wojska nie pracował, przynajmniej nie legalnie. Na wszelki wypadek sprawdziła też IRS, to samo. UNSUB od pięciu lat nie płacił podatków. Nawet się nie zarejestrował.

No dobra, bierzmy się do dzieła. Wyprostowała się w fotelu, zamknęła strony rządowe i odpaliła nielegalne oprogramowanie, które zaprowadziło ją wprost do prywatnego świata bankowości. Uczciwie rzecz biorąc, nie powinna wykorzystywać go do tych celów, do jakichkolwiek celów. Nie spodziewała się jednak żadnych problemów. Oczekiwała natomiast wyników. Jeśli UNSUB ma choćby jedno konto w jakimkolwiek banku w pięćdziesięciu stanach, znajdzie je — nawet skromny rachunek

bieżący, nawet konto puste bądź porzucone. Wiedziała, że mnóstwo ludzi radzi sobie bez kont bankowych, miała jednak przeczucie, że UNSUB do nich nie należy. Nie ktoś, kto był majorem w armii amerykańskiej. Odznaczonym.

Dwukrotnie wprowadziła numer ubezpieczenia społecznego, raz w pole SSN i raz w pole identyfikacji podatkowej. Wpisała nazwisko i kliknęła „szukaj”.

• • •

Dwieście pięćdziesiąt kilometrów dalej Jack Reacher zadrżał z zimna. Atlantic City w połowie listopada z całą pewnością nie należało do najcieplejszych miejsc na ziemi. Wiatr znad oceanu niósł dość soli, by wszystko wokół było wciąż wilgotne i lepkie. Kolejne ostre podmuchy unosiły w powietrze śmieci i chlostały nogi Reachera, który miał na sobie cienkie spodnie. Pięć dni temu był w Los Angeles i z każdą chwilą nabierał pewności, że powinien tam zostać. Ale skoro nie został, to lepiej, żeby jak najszybciej tam wrócił. Południowa Kalifornia w listopadzie to bardzo przyjemne miejsce. Powietrze było tam ciepłe, a wiatry łagodnie pieściły skórę, zamiast mrozić ją i atakować kolejnymi falami piekącej soli morskiej. Powinien wracać, a już z pewnością powinien się stąd wynieść.

Albo może powinien zostać, tak jak go poproszono, i kupić sobie kurtkę.

Przyjechał na wschód ze starą czarnoskórą kobietą i jej bratem. Łapał okazję w Los Angeles, bo miał ochotę odwiedzić pustynię Mojave. Staruszkowie zaprosili go do swojego sędziwego buicka roadmastera. Natychmiast zauważył wśród bagaży mikrofon, prymitywny sprzęt nagłaśniający i zapakowany w pudełko keyboard Yamahy. Staruszka poinformowała go, że jest piosenkarką i jedzie na krótkie występy aż do Atlantic City. Powiedziała też, że brat akompaniuje jej na keyboardzie i prowadzi samochód. Nie jest już jednak zbyt ciekawym rozmówcą, nie jest też zbyt dobrym kierowcą, a roadmaster nie jest zbyt

dobrym samochodem. Istotnie, staruszek przez cały czas milczał, a przez zaledwie pierwszych dziesięć kilometrów kilka razy znaleźli się wszyscy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Aby się uspokoić, staruszka zaczęła śpiewać. Wystarczyło kilka pierwszych taktów *You Don't Love Me* Dawn Penn, by Reacher postanowił jechać z nią aż na wschód, byle tylko móc jeszcze posłuchać. Zaproponował, że usiądzie za kierownicą. Ona śpiewała dalej. Miała słodki zmysłowy głos, który już dawno powinien uczynić z niej bluesową supergwiazdę, tyle że zapewne zbyt wiele razy znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie i dlatego nic z tego nie wyszło. W starym samochodzie nie działało wspomaganie kierownicy, spod maski wciąż dobiegały trzaski, łomoty i gruchotanie. Gdy doszli do siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, dźwięki te zamieniły się w coś w rodzaju sekcji rytmicznej. Słabe radio odbierało niekończącą się paradę kolejnych miejscowych stacji UKF zmieniających się co dwadzieścia minut. Staruszka śpiewała im do wtóru, stary mężczyzna milczał i przez większą część drogi spał na tylnym siedzeniu. Reacher przez trzy dni prowadził przez osiemnaście godzin na dobę i dotarł na New Jersey, czując się, jakby był na wakacjach.

Klub okazał się podrzędną ruderał osiem przecznic od promenady. Kierownik nie sprawiał wrażenia człowieka, któremu można by zaufać w sprawie dotrzymania warunków kontraktu, Reacher zajął się więc liczeniem klientów i sumowaniem na bieżąco pieniędzy, które powinny znaleźć się pod koniec tygodnia w kopercie. Robił to demonstracyjnie i widział, że kierownik z każdą chwilą coraz bardziej się wkurza. Wkrótce zaczął prowadzić krótkie tajemnicze rozmowy telefoniczne, zasłaniając dłonią słuchawkę. Cały czas wpatrywał się w twarz Reachera. Reacher odpowiadał spokojnym spojrzeniem i lodowatym uśmiechem. Nie ustępował. W ciągu weekendu wysłuchał trzech koncertów, potem jednak znów ogarnął go niepokój. Poza tym było mu zimno, toteż w poniedziałkowy

ranek już miał zmienić zdanie i ruszyć w drogę, gdy stary klawiszowiec wyszedł za nim po śniadaniu i w końcu przerwał milczenie.

— Chciałbym poprosić, żebyś z nami został — rzekł. Wymówił to „chdziałbym”. W jego starych, pełnych bólu oczach rozbłysła iskierka nadziei. Reacher nie odpowiedział.

— Jeśli nie zostaniesz, kierownik z pewnością nas oszuka — dodał staruszek. Zabrzmiało to tak, jakby oszukiwanie na honorariach było czymś naturalnym, co spotyka muzyków, tak jak dziurawe dętki czy przeziębienia. — Ale gdybyśmy dostali wszystko, mielibyśmy dość na benzynę, by dojechać do Nowego Jorku, może załatwić sobie występ u B.B. Kinga przy Times Square, wskrzesić naszą karierę. Ktoś taki jak ty mógłby tu wiele zdziałać, możesz mi wierzyć.

Reacher nadal nie odpowiadał.

— Oczywiście widzę, że się niepokoisz. Taki kierownik musi mieć na podorędziu kogoś nieprzyjemnego.

Reacher uśmiechnął się, słysząc to subtelne określenie.

— Kim ty właściwie jesteś? — spytał staruszek. — Jakimś bokserem?

— Nie — odparł Reacher — żadnym bokserem.

— Zapaśnikiem? — naciskał stary człowiek. — Takim jak w kablówce?

— Nie.

— Z pewnością jesteś silny. Wystarczająco silny, by nam pomóc, jeśli zechcesz. — Wymówił to „zechcesz”, nie miał przednich zębów.

Reacher nie odpowiedział.

— To kim właściwie jesteś? — powtórzył staruszek.

— Byłem żandarmem wojskowym — odparł Reacher. — Trzyście lat w wojsku.

— Odszedłeś?

— Coś w tym stylu.

— I nie mają dla was pracy?

— Nie taką, jaką bym chciał.  
— Mieszkasz w LA?  
— Nigdzie nie mieszkam. Podróżuję.  
— My, wędrowcy, powinniśmy trzymać się razem — mruknął starsuszek. — To takie proste. Pomagać sobie nawzajem, wspierać się.

„Wzbielać się”.

— Tu jest bardzo zimno — zauważył Reacher.  
— Cholerna racja. Ale mógłbyś kupić sobie kurtkę.

Stał więc teraz na wietrznym rogu ulicy, wichura znad morza mroziła go do szpiku kości, a on musiał podjąć ostateczną decyzję. Sklep z ciuchami czy droga. Przez chwilę się rozmarzył: La Jolla, tani pokój, ciepłe wieczory, jasne gwiazdy, zimne piwo. A potem: stara kobieta w nowym klubie B.B. Kinga w Nowym Jorku, na widownię wpada akurat młody pracownik wytwórni, mający obsesję na punkcie brzmienia retro, podpisują kontrakt, kobieta nagrywa płytę, rusza w trasę koncertową, piszą o niej w „Rolling Stone”, zdobywa sławę, pieniądze, nowy dom. Nowy samochód.

Odrzucił się plecami do autostrady i skulony ruszył w porwach wiatru na wschód w poszukiwaniu sklepu z ubraniami.

• • •

W ten poniedziałek w Stanach Zjednoczonych działało prawie tysiąc dwieście licencjonowanych i ubezpieczonych w FDIC instytucji bankowych. W sumie prowadziły ponad miliard odrębnych rachunków, lecz tylko jeden z nich odpowiadał nazwisku i numerowi ubezpieczenia społecznego UNSUB. Był to zwykły rachunek bieżący w filii regionalnego banku w Arlington w stanie Wirginia. M.E. Froelich ze zdumieniem wpatrywała się w adres filii. To niecałe siedem kilometrów stąd, pomyślała. Przepisała szczegóły na kartkę. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do starszego kolegi z drugiego końca organizacji. Poprosiła go, by skontaktował się z bankiem i wyciągnął z niego

wszystkie możliwe szczegóły, zwłaszcza adres domowy. Błagała też, by działał jak najszybciej, ale bardzo dyskretnie. I całkowicie nieoficjalnie. Odłożyła słuchawkę. Teraz musiała czekać, zniecierpliwiona i sfrustrowana chwilowym brakiem zajęć. Problem polegał na tym, że drugi koniec organizacji mógł bez problemu zadać bankowi kilka dyskretnych pytań. Natomiast gdyby odezwała się do nich Froelich, uznano by to za bardzo, bardzo dziwne.

• • •

Trzy przecznice bliżej oceanu Reacher znalazł magazyn z przecenionymi ubraniami i szybko wcisnął się do środka. Wąskie pomieszczenie było długie na kilkadziesiąt metrów. Na suficie zamontowano niezliczone jarzeniówki, rzędy wieszaków ciągnęły się bez końca. Stwierdził, że po lewej wiszą stroje kobiece, pośrodku dziecięce, a po prawej męskie. Zaczął zatem od najdalszego kąta, wędrując w stronę kasy.

Bez wątpienia zgromadzono tu wszystkie dostępne na rynku rodzaje kurtek i płaszczy. Pierwsze dwa wieszaki wypełniały krótkie kurтки puchowe. Do niczego. Dobrze zapamiętał sobie sentencję, którą lubił powtarzać stary kumpel z wojska: „Dobra kurtka jest jak dobry prawnik, osłania ci tyłek”. Trzeci wieszak wyglądał bardziej obiecująco. Wisiały na nim rzędy długich do pół uda płóciennych kurtek w neutralnych barwach, z grubymi flanelowymi podpinkami. Może podpinkki miały w sobie trochę wełny, może jeszcze co innego. Wydawały się dość ciężkie.

— Mogę w czymś pomóc?

Odrzucił głowę i ujrzał młodą kobietę.

— Czy te kurтки nadają się na tutejszą pogodę?

— Są idealne — odparła. Z ożywieniem zaczęła opowiadać mu o substancjach, którymi spryskano wierzchnią płócienną warstwę, by uczynić ją wodoodporną. Opowiedziała też o specjalnej podpince, zarzekając się, że pozwoli mu utrzymać ciepło

nawet podczas mrozu. Reacher przesunął ręką po wieszaku i wybrał ciemnooliwkową XXL.

— W takim razie biorę tę.

— Nie chce pan przymierzyć?

Zawahał się chwilę, po czym włożył kurtkę. Pasowała całkiem nieźle — no, może nie do końca, może była nieco przyciasna w ramionach i miała odrobinę za krótkie rękawy.

— Potrzebuje pan trzy-XLT — oznajmiła kobieta. — Ile pan ma, sto dwadzieścia?

— Sto dwadzieścia czego?

— Centymetrów. Obwód klatki.

— Nie mam pojęcia, nigdy się nie mierzyłem.

— Wzrost metr dziewięćdziesiąt dwa?

— Mniej więcej.

— Waga?

— Sto dziesięć kilo. Może sto piętnaście.

— Zdecydowanie potrzebuje pan rozmiaru na nietypowy wzrost. Proszę przymierzyć trzy-XLT.

Kurtka, którą mu wręczyła, miała tę samą ciemną barwę co XXL, ale pasowała znacznie lepiej. Była luźna. Reacher lubił luźne. I rękawy sięgały tam, gdzie trzeba.

— Chce pan też spodnie?! — zawołała kobieta. Stała teraz przy innym wieszaku i przeglądała ciężkie, płócienne, robocze spodnie, zerkając na jego pas i długie nogi. Po chwili przyniosła parę pasującą do jednego z kolorów flanelowej podpinkki kurtki. — I proszę też zmierzyć koszulę — dodała. Przeskoczyła do kolejnego wieszaka, demonstrując całą tęczową gamę flanelowych koszul. — Pod spód wystarczy podkoszulek i zniesie pan każdą pogodę. Jakie kolory pan lubi?

— Coś niejaskrawego.

Wyłożyła wszystko na jednym z wieszaków. Kurtkę, spodnie, koszulę, podkoszulek. Pasowały do siebie — brązy, khaki, oliwkowa zieleń.



— W porządku? — spytała radośnie.

— W porządku — odparł. — Macie tu też bieliznę?

— Tam — pokazała.

Zaczął grzebać w koszu z bokserkami drugiego gatunku. Wybrał białe, do tego bawełniane skarpetki w brązowo-zielone cętki.

— W porządku? — powtórzyła kobieta.

Reacher skinął głową. Zaprowadziła go do kasy z przodu sklepu i przesunęła pod czytnikiem wszystkie metki.

— Sto osiemdziesiąt dziewięć dolarów — oznajmiła.

Przez chwilę przyglądał się czerwonym cyferkom na wyświetlaczu kasy.

— Zdawało mi się, że to magazyn towarów przecenionych — powiedział.

— To naprawdę rozsądna cena — zapewniła.

Reacher pokręcił głową, sięgnął głęboko do kieszeni i wyciągnął zwitek podniszczonych banknotów. Odliczył sto dziewięćdziesiąt i dostał dolara reszty. W sumie dysponował obecnie czterema dolarami w gotówce.

• • •

Starszy kolega z drugiego krańca organizacji oddzwonił do Froelich po dwudziestu pięciu minutach.

— Masz adres domowy? — spytała go.

— Bulwar Waszyngtona sto. Arlington, Wirginia. Kod pocztowy dwadzieścia trzysta dziesięć — tysiąc pięćset.

Froelich to zapisała.

— W porządku, dzięki. To chyba wszystko, czego mi trzeba.

— Myślę, że trzeba ci czegoś więcej.

— Dlaczego?

— Znasz Bulwar Waszyngtona?

Froelich się zastanowiła.

— Biegnie aż do Memoriał Bridge, prawda?

— To tylko jezdnia.

— Żadnych budynków? Muszą tam być jakieś budynki.

— Owszem, jeden, za to duży. Kilkaset metrów z boku.

— Co takiego?

— Pentagon — wyjaśnił jej rozmówca. — To fałszywy adres, Froelich. Po jednej stronie Bulwaru Waszyngtona mieści się cmentarz Arlington, po drugiej Pentagon. To wszystko, nie ma nic więcej. Numer sto nie istnieje. Nie ma tam żadnych prywatnych adresów. Sprawdziłem na poczcie. A kod odpowiada departamentowi wojska w Pentagonie.

— No super — mruknęła Froelich. — Zawiadomiłeś bank?

— Oczywiście, że nie. Prosiłaś o dyskrecję.

— Dzięki. Ale wróciłam do punktu wyjścia.

— Może nie. To bardzo dziwny układ, Froelich. Sześciocyfrowe konto, ale wszystko na rachunku bieżącym, zero oprocentowania. A klient podejmuje gotówkę wyłącznie poprzez Western Union. Nigdy nie zjawia się osobiście, wszystko załatwia przez telefon. Dzwoni, podaje hasło, bank przesyła telegraficznie pieniądze do Western Union.

— Nie ma karty bankomatowej?

— Żadnych kart. Nigdy nie wydano też książeczki czekowej.

— Wyłącznie Western Union? Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym. Czy prowadzą jakieś rejestry?

— Geograficznie rzecz biorąc, podejmował gotówkę prawie wszędzie. Czterdzieści stanów w ciągu pięciu lat. Od czasu do czasu depozyt. Do tego mnóstwo niewielkich wypłat, wszystkie przesyłane do filii Western Union w najróżniejszych miastach, wszędzie.

— Dziwne.

— Tak jak powiedziałem.

— Możesz coś zrobić?

— Już zrobiłem. Zawiadomią mnie, kiedy odezwie się następnym razem.

— A ty dasz mi znać?

— Może.